

Słownikowy groch z kapustą

Rec.: Ilustrowany słownik terminów literackich. Historia, anegdota, etymologia. Red. Zbigniew Kadłubek, Beata Mytych-Forajter, Aleksander Nawarecki. (Gdańsk 2018).

Michał Głowiński

SŁOWNIKOWY GROCH Z KAPUSTĄ

ILUSTROWANY SŁOWNIK TERMINÓW LITERACKICH. HISTORIA, ANEGDOTA, ETYMOLOGIA. Redakcja: Zbigniew Kadłubek, Beata Mytych-Forajter, Aleksander Nawarecki. (Gdańsk 2018). Słowo/obraz terytoria, ss. 540, 6 nlb.

1

Już na samym początku nie będę tań, co myślę o tej nader osobliwej publikacji. Moja negatywna ocena wynika przede wszystkim z tego, że książka owa jest przykładem rażącej niekompetencji. Zarzut ten dotyczy nie tylko poszczególnych haseł, są wśród nich zresztą różne, można znaleźć pewną liczbę ciekawych i na dobrym poziomie. Autorami wyróżniających się tekstów, niezbyt, niestety, licznych, są na ogół badacze literatury należący do pokolenia starszego, znani uczeni, którzy w mniejszym stopniu podporządkowywali się ogólnej koncepcji słownika; myślę tu o pozycjach takich autorów, jak – wymieniam w kolejności alfabetycznej – Marek Bieńczyk, Joanna Dembińska-Pawelec, Adam Dziadek, Tadeusz Sławek, Włodzimierz Szturc.

Mój podstawowy zarzut dotyczy ogólnej koncepcji *Słownika*, świadczącej o nieprofesjonalności tych, którzy sformułowali jego założenia, one zaś zostały ujawnione w tekście wprowadzającym pióra profesora Aleksandra Nawareckiego. Powiedziałbym, że jest to niekompetencja dumna z siebie, przedstawia się ją bowiem jako zaletę, cnotę, przejaw nowatorstwa. Wynika to niezbitie z wywodów prof. Nawareckiego w owym wprowadzeniu, a właśnie on – jak wszystko na to wskazuje – jest twórcą koncepcji i szefem, który dbał o jej realizację. Nie wiem, dlaczego słowo wprowadzające nazywa się *Zamiast wstępu*, choć jest typowym wstępem, zapowiadającym, co czeka czytelników czy raczej – użytkowników, bo wydawnictw z gatunku słownikowego z reguły nie czyta się od deski do deski, sięga się po nie w miarę potrzeby. Sporządzanie słowników terminologicznych, tak zresztą jak wszelkich innych, jest swojego rodzaju sztuką, podlegającą pewnym zasadom, które trzeba respektować, sztuką trudną, wymagającą dyscypliny intelektualnej, pracochłonną. Przede wszystkim autorzy muszą jasno zdawać sobie sprawę, do jakiego typu odbiorców adresują swoją pracę – czy są to specjaliści w danej dziedzinie wiedzy, czy studenci, czy też uczniowie, którym trzeba przekazywać informacje o charakterze elementarnym. Autor owego wprowadzenia jedynie z lekko ukrywaną ironią wypowiada się o „dobrodusznej trosce o odbiorcę” (s. 10), tak jakby pisał o awangardowej, wyprzedzającej swój czas, poezji czy o szokującej niezwykłością formalną powieści, a nie o gatunku wypowiedzi naukowej bądź – najczęściej – popularnonaukowej, która ma przekazać temu, kto po słownikową publikację sięga, wyraźnie określony zespół wiadomości. Z dywagacji prof. Nawareckiego niezbitie wynika, że nowoczesny słownik terminologiczny to taki, który stanowi ekspresję autorów – i oni, nie zaś ci, którzy mają z niego korzystać (choćby w procesie edukacyjnym), zostali uplasowani na pierwszych miejscach i są traktowani tak, jakby byli najważniejsi. Lansowana troska autorów o samych siebie nie jest już oczywiście – ich zdaniem – w obrębie tego rodzaju „koncepcji” dobroduszna, ale w najwyższej mierze uzasadniona i podziwu godna. Można powiedzieć, iż promuje się tu ekspresyjną koncepcję słownika.

Równie dziwią inne zadeklarowane zamierzenia: przedstawiany *Słownik* ma tych, którzy wezmą go do ręki, bawić. Taki zamiar jest oczywiście przejawem nowatorstwa, bo jeszcze nikt chyba nie traktował słownika terminologicznego jako gatunku ludycznego, co zresztą – jak powiada prof. Nawarecki – ma nie wchodzić w konflikt z naukową powagą. Niestety, nie umiem sobie tego wyobrazić, podobnie zresztą, jak poza zasięgiem mojej zdolności pojmo-

wania znajduje się założenie, że trzeba pokazywać, jak terminy wyglądają i jak dźwięcza (zmysł wuchu został pominięty!). Jeśli takie zamierzenia mają rzeczywiście coś znaczyć, a zebrane w tym obszernym tomie hasła mają stanowić realizację takiego – jak się teraz zwykło mówić – projektu, to nie tylko nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, ale stały się jednym z tych czynników, które doprowadziły do katastrofy.

2

Niewątpliwym przejawem niekompetencji projektantów *Słownika* jest to, że nie przeprowadzają zasadniczego rozróżnienia między słownikiem językowym a słownikiem terminologicznym. Mają one pewne tereny wspólne, są jednak zasadniczo różnymi typami publikacji. Słowniki językowe podają znaczenia słów w obrębie danego systemu językowego, a gdy chodzi o publikacje pod jakimś względem wyspecjalizowane, to mogą to być słowniki etymologiczne, historyczne, regionalne czy tak lub inaczej ograniczone do pewnych tylko odmian wysłowienia. Słowniki terminologiczne rejestrują znaczenia słów funkcjonujących w sferze danej dziedziny wiedzy, odniesienia do znaczeń językowych mogą mieć w ich obrębie swoją wagę, są jednak tym, co należy określić jako czynnik pomocniczy. W wielu przypadkach można je pominąć, bo są zrozumiałe dla każdego, kto posługuje się danym językiem. Przywołam tu przykład takiego terminu, zresztą nie zaczerpnięty z omawianego *Słownika*: „wieniec sonetów” jest przyjętym określeniem w pewien sposób skomponowanego cyklu sonetowego; w słowniku terminologicznym nie trzeba wyjaśniać znaczenia słowa „wieniec”, bo w istocie każdy *native speaker* w języku polskim je zna, podobnie jak osoba posługująca się językiem angielskim zna słowo „crown”, występujące w angielskim odpowiedniku tej nazwy gatunkowej: „crown of sonnets”. Autorzy hasel składających się na omawiane dzieło w większości nie przestrzegają tej zasady. Tylko jeden przykład: w *Słowniku* znalazło się hasło *Adres*. Słusznie, bo w jednym ze swych znaczeń słowo to wskazuje charakteryzującą się wyraźnymi właściwościami gatunek piśmiennictwa. Można założyć, że każdy, kto po tę księgę sięga, zna potoczny sens słowa „adres”, jednakże tego oczywistego faktu autorka do wiadomości nie przyjmuje – i w konsekwencji snuje rozwlekłe dywagacje na ów temat. Zbyteczne. Nie jest to przypadek odosobniony, hasła, w których takie rozważania przekształcają się w trudne do uzasadnienia redundancje, występują tu w obfitości. Wynikają one właśnie z przeoczenia, że to, co konieczne w słowniku językowym, bywa niepotrzebne w słowniku terminologicznym. Czasem odnosiłem wrażenie, że obszernie wyjaśnianie znaczeń słów potocznych typu „adres” służy łatwemu powiększaniu objętości, czym motywowanemu – trudno dociec. Domyślam się, że przyjęto zasadę, iż wszystkie hasła (a jest ich 133) mają być podobnych rozmiarów. Prowadzi to niekiedy do zdumiewających efektów. W konsekwencji hasło *Kaskada*, omawiające układ stroficzny wymyślony pod koniec XIX wieku przez Jerzego Żuławskiego, jest dłuższe niż hasło *Powieść*.

Sprawa objętości to wszakże kwestia mniejszej wagi. Zbagatelizowanie – jak wynika ze wstępu prof. Nawareckiego, w pełni świadome – różnic przedmiotowych, funkcjonalnych i poznawczych zarysowujących się między słownikiem terminologicznym a słownikiem etymologicznym ma znacznie dalej idące konsekwencje. Warto się temu problemowi przyjrzeć bliżej. W przywoływanym wstępie prof. Nawarecki deklaruje w imieniu nie tylko własnym, ale całego zespołu autorskiego, miłość do etymologii. Nie jest zadaniem recenzenta komentowanie stanów emocjonalnych i upodobań redaktora książki, a także jego współpracowników, powiem wszakże, że ta fascynacja stanowi jeden z czynników decydujących o pomieszczeniu w poplątaniu, jakie tę książkę charakteryzuje. Nie jestem – oświadczam to, by nie powstały zbyteczne nieporozumienia – przeciwnikiem podawania etymologii również w słownikach typu terminologicznego, sądzę jednak, że rozważania z tej dziedziny muszą znajdować się na odpowiednim miejscu, właściwym poziomie i być funkcjonalne. Czasem nie tylko mogą się łączyć z informacjami na temat pochodzenia (w wąskim sensie) danego terminu, ale też

wiązać się z jego historią. W każdym razie nie powinny zajmować miejsca odpowiedników terminu w językach obcych (takich informacji tutaj brak) – uwzględnianie w haśle *Powieść* etymologii tego polskiego rzeczownika nie zastąpi informacji, że terminy obcojęzyczne to „roman” czy „novel”, podobnie jak np. etymologia hasła (nie pojawiającego się zresztą w omawianej publikacji) „mowa niezależna” nie zastąpi objaśnienia, że po łacinie jest to „*oratio recta*”. W niektórych przypadkach przedstawienie historii terminu, nie sprowadzane do etymologii, przynosić może interesujące informacje na temat jego znaczenia i zastosowań. Jako przykład przywołam termin istotny dla różnego rodzaju rozważań i analiz z dziedziny stylistyki narracji, też zresztą tu pominięty, a mianowicie „mowa pozornie zależna”. Uformowany on został na początku XX wieku, znany jest jego autor: jest nim jeden z fundatorów nowoczesnej poetyki w Polsce, Kazimierz Wóycicki, który w ten sposób zaadaptował francuski termin „*style indirect libre*”; tak właśnie określił zjawisko znane wprawdzie w formie zaczątkowej od stuleci, ale o ogromnej wadze dla form narracyjnych powstających od drugiej połowy XIX wieku.

Charakterystyczną właściwość omawianego *Słownika* stanowi pomijanie terminów złożonych z dwu słów (typu „powieść poetycka”), by nawet nie wspominać o tych, na które składa się ich większa liczba (jak „mowa pozornie zależna”); oczywiście, każdy z elementów wymagałby osobnego wywodu etymologicznego, co – rzecz jasna – stanowiłoby dla autorów dodatkowe obciążenie i utrudnienie. Uczyniono wyjątek bodaj dla dwu terminów złożonych z dwu słów, zamieszczając hasła: *Science fiction* (jest to napisana przez Krzysztofa Uniłowskiego rzetelna historia tego terminu) oraz *Tradycja literacka* (w tym przypadku mamy do czynienia z mętnie zreferowaną teorią Harolda Blooma).

Etymologie bywają w tej książce rozmaite, niektóre są umotywowane i sprawdzone, inne – budzą zdziwienie, bo wydają się bliskie temu, co określa się mianem „etymologii ludowej”, ona zaś nie ma uzasadnień naukowych, wynika z przypadkowych analogii i z brzmieniowych podobieństw. Cytuję fragment początkowy hasła *Dramat* pióra prof. Kadłubka: „Gdy ktoś szybko idzie, mówi w języku potocznym, że drałuje. Polski czasownik »drałować« znaczeniowo i brzmieniowo jest bliski greckiemu czasownikowi [...] *dráo*, 'działam', 'jestem zajęty'” (s. 143). W haśle *Chór*, sporządzonym przez tego samego autora, pojawia się podobny typ rozważań: „Gdy wypowiadamy na głos greckie słowo [...] *chorós*, słyszymy polskie »koło«” (s. 115). Kiedy czytałem tego rodzaju dywagacje i rewelacje, przypomniła mi się rozmowa z pewną moją znajomą, która żywiła przekonanie, iż nazwa pociągu Pendolino pochodzi od czasownika „pędzić”! Pani owa ma wszakże tę przewagę nad autorem cytowanych zdań, że nie zajmowała się nigdy rozwiązywaniem problemów filologicznych i układaniem słowników. Trzeba stwierdzić, iż przytoczony tu początek tak ważnego hasła, jakim bez wątpienia jest *Dramat*, stanowi dziwo, nawet gdyby uznać, że zestawienie dramatu i drałowania nie jest etymologią ludową i ma jakieś naukowe uzasadnienie. Dziwo, bo co z niego wynika? W istocie nie wynika nic! Do sprawy incipitów hasel powrócę w dalszym toku tych uwag.

Z etymologią i jej eksponowaniem wiązać się mają wszakże sprawy najważniejsze dla wszelkiego słownika terminologicznego. Pisze o tym całkiem jawnie prof. Nawarecki w swym wprowadzeniu. Nie tylko wyznaje on bowiem gorące uczucie dla etymologii, z jego wywodu wynika, że sądzi, iż w istocie etymologia terminu ważniejsza jest od jego znaczenia. Dominacja etymologii nad sensem to podstawowe założenie tego dzieła, takie właśnie przekonanie ma być przejawem nowoczesności w jej postaci charakterystycznej dla obecnych czasów. Przyjrzyjmy się bliżej tej tezie. Wynika z niej jednoznacznie swojego rodzaju upodrzednienie znaczenia, a więc tym samym odebranie uzasadnień takim publikacjom. Jeśli sięgam po słownik terminologiczny, to chcę się czegoś dowiedzieć np. na temat fikcji (przywołuję tu jedno z najsłabszych hasel w tym *Słowniku*), czegoś nie ograniczającego się do ewolucji słowa. W publikacji, w której obowiązuje przekonanie, że etymologia dominuje nad znaczeniem, w rzeczywistości niewiele mogę się dowiedzieć na temat, który mnie interesuje. Wynikają z tego istotne i groźne dla każdego takiego słownika niebezpieczeństwa: skoro umniej-

sza się wagę i rolę znaczenia, można zrezygnować z jego wyjaśniania. I twórcy koncepcji omawianej publikacji, choć – na szczęście – nie wszyscy autorzy haseł, kwestionują rolę definicji jako podstawowego elementu słownika. Niechęć do niej ujawnia się pośrednio w tekście *Zamiast wstępu* prof. Nawareckiego, a wtóruje mu w jednym z haseł prof. Kadłubek. Definicja ma ustytuczniać świat i w ogóle jest czymś nader złym, przed czym trzeba się chronić. Być może, definicje są paskudztwem, ale w tej materii ludzkości dotychczas nie udało się wymyślić niczego lepszego. Autorzy słowników, którzy odrzucają definicje, skazują się na klęskę. Mamy tu do czynienia ze spektakularnym przykładem tego zjawiska.

3

W tym właśnie miejscu dotarliśmy do następnej sprawy o wielkim znaczeniu. Omawiany *Słownik* jest obszerny, hasła są długie, każde liczy mniej więcej trzy stronicie (mniejsze pojawiają się tylko na zasadzie wyjątku). Nie ma wątpliwości, że terminów literackich jest znacznie więcej, nie sposób wskazać konkretnej liczby, ale gdy się spojrzy na różne dziedziny wiedzy o literaturze, a także gdy uwzględni się różne etapy historyczne, w jakich kształtowało się terminologiczne bogactwo, nie można nie stwierdzić, iż przekracza ono podaną we wstępie liczbę. Nie ma chyba na świecie słownika tego typu, który ogarniałby całokształt. Koniecznością jest dokonywanie wyborów, to jedno z najpoważniejszych zadań (i trudności), jakie stają przed projektodawcami, redaktorami i autorami takich publikacji. W żadnym razie nie da się pominąć tego rodzaju wstępnych raf, przez które trzeba przebrnąć, jeśli oczywiście zestaw haseł ma być traktowany poważnie i nie stanowić domeny przypadku.

Otóż moim bodaj najcięższym zarzutem wobec omawianego *Słownika* jest to, że nie można dociec, według jakich kryteriów zestaw ów powstawał i co decydowało o tym, że pewne terminy do niego trafiły, inne zaś takiego wyróżnienia się nie doczekały. W tej dziedzinie panuje – nazwę rzecz po imieniu – wprost niebywały bałagan. Zaczę od przykładu najprostszego: hasło *Daktyl* powinno się pojawić i dobrze się stało, że stopa ta została uwzględniona (kompetentny tekst Łukasza Tomanka). Nasuwa się jednak momentalnie pytanie: dlaczego w takim razie pominięto pozostałe nazwy z tego kręgu, choćby takie, jak „trochej”, „amfibrach” i „anapest”, albo – inaczej – z jakich powodów nie zdecydowano się na hasło zbiorcze, w którym omówiono by przynajmniej najczęściej występujące stopy. I na to pytanie w tym słowniku nie można znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Sprawa dotyczy nie tylko wskazanego tu przypadku. Po prostu w tej dziedzinie panuje w omawianej księdze – powtarzam – wprost trudny do pojęcia, a także opisania, bałagan. Czytelnik, biorąc ją do ręki, nie wie, na znalezienie jakich informacji może liczyć. Powiem otwarcie: racjonalnych kryteriów, według których dobierano hasła, tutaj nie ma; być może, decydował o tym przypadek czy też przyznanie sobie prawa do anarchicznej samowoli, co na jedno zresztą wychodzi. Nie ma rozsądnego powodu, by uznać, że – sięgam ponownie do sygnalizowanego już przykładu – daktyl jest ważniejszy niż trochej czy amfibrach, a – przywołuję inny przykład – arabeska zasługuje na uwagę w przeciwieństwie do groteski, której nie uwzględniono. Kiedy przeglądałem spis rzeczy, nasuwało mi się nieodparcie podejrzenie, że zestaw haseł sporządzono – tak to się określa we współczesnej potocznej polszczyźnie – „po uważaniu”.

W *Słowniku* nie ma terminów podstawowych, oto krótkie wyliczenie na zasadzie przykładu: rym, prąd literacki, *mimesis*, *katharsis*, parabola, opowiadanie, nowela, akcja, fabuła, oda, elegia, epos, epopeja, parodia, opis, monolog itp., itd.... Są natomiast hasła poświęcone zjawiskom partykularnym, niekiedy zbyt szczegółowym, po prostu marginesowym. Co ma odbiorca myśleć o słowniku, w którym znajduje wspomniane już hasło *Kaskada*, mogące interesować przede wszystkim badaczy twórczości Jerzego Żuławskiego, nie znajduje zaś takich haseł, jak „liryka”, „epika” czy „gatunek literacki”. Wątpię, by odbiorca ów był szczególnie ukontentowany i ubawiony takim stanem rzeczy (a przecież „bawienie czytelnika”

zadeklarował prof. Nawarecki we wstępie jako jedno z zadań *Słownika*): jeśli zależy odbiorcy na zdobyciu fundamentalnych wiadomości, rzetelnie i przejrzysto ujętych, na temat kategorii o ogromnym znaczeniu dla naszej dyscypliny, znajdzie je choćby w którymś ze słowników Stanisława Jaworskiego¹, przeznaczonych dla szkół średnich. Przyznać trzeba, że konieczność sięgania po słownik pomyślany dużo skromniej, ale profesjonalnie sporządzony, np. po to, by się dowiedzieć w czasie lektury hasła *Metafora*, co to takiego „*mimesis*”, czy w trakcie lektury hasła *Metrum*, co znaczy termin „heksametr”, jest sytuacją osobliwą. Z podobnymi praktykami, czyli wyjaśnianiem *ignotum per ignotum*, mamy w tym *Słowniku* do czynienia nieustannie.

Pomijanie terminów o pierwszorzędym znaczeniu w nauce o literaturze, a także często występujących w różnego typu tekstach, staje się tym bardziej widoczne, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że obficie są w omawianym dziele reprezentowane i analizowane wyrażenia i słowa, które bądź mają mniejszą wagę niż inne, opuszczone, bądź w ogóle nie są terminami. Nazwy prądów konsekwentnie zostały zbagatelizowane, poza jednym wyjątkiem – pojawia się secesja; mniej wyrobiony czytelnik może dojść do wniosku, że to najważniejszy prąd w dziejach literatury, ważniejszy niż barok, romantyzm, realizm, no bo o nich nie ma ani słowa. Hasło jest dobre (pióra Wacława Forajtera), właściwym dla niego miejscem byłby jednak słownik terminologiczny historii sztuki. Termin „secesja” w pracach o literaturze przywoływany jest raczej rzadko i stanowi wyraźne zapożyczenie z prac dotyczących malarstwa i architektury. Dlaczego na umieszczenie właśnie tego hasła zdecydowali się redaktorzy *Słownika*, naprawdę nie sposób dociec, zapewne pozostanie to ich pilnie strzeżoną tajemnicą. A to tylko jeden z wielu podobnych przykładów.

Trzeba tu wskazać na drugą stronę tego osobliwego zjawiska. Prezentacji doczekały się w omawianym *Słowniku* wyrażenia, które bądź w ogóle nie są terminami, bądź są terminami, ale z innych dziedzin. Np. do rangi terminu podniesione zostało słowo „kurdesz”, które należy do polskiej tradycji poezji bachicznej, ale nie wchodzi w obręb terminologii; to rażący przypadek hasła niepotrzebnego. Właściwe miejsce terminu „aporia” jest w słowniku terminologii filozoficznej, nie – literaturoznawczej. Przykłady można by mnożyć. Terminem w naszej dyscyplinie nie jest „skandal”, terminem nie jest w niej „kaprys”... Nie wiem, z jakiego powodu znalazło się w *Słowniku* hasło *Punctum*, zwłaszcza że w rzeczywistości literatury nie dotyczy, a przy tym należy w tym zbiorze do rekordowo mętnych.

Osobliwość *Słownika* stanowi to, że głównym spoiwem jest w nim układ alfabetyczny. Jak widać, tego zasadniczego czynnika porządku nie dało się zakwestionować. W istocie jednak wszystko ujęte zostało oddzielnie, między hasłami nie ma łączności (poza nader nielicznymi wyjątkami), każdy z autorów dba o swoją działkę – i uprawia ją, nie patrząc na to, czym zajmują się koledzy. Nie kształtuje się tutaj to, co można nazwać korespondencją między hasłami, a ona właśnie wydaje się czymś koniecznym w dobrze pomyślanym słowniku terminologicznym, terminy bowiem nie są bytami odosobnionymi, składają się na rzeczywistość mniej lub bardziej systemową. Jest charakterystyczne, że w zaprojektowanym przez prof. Nawareckiego słowniku nie znajdujemy pozycji odnośnikowych, czytelnik nie dowie się zatem, jakie zjawiska i terminy ze sobą współdziałają, w czym się wiążą, jak się do siebie ustosunkowują, a nie mamy przecież do czynienia z monadami, z natury rzeczy istniejącymi w izolacji. Terminologia jest zjawiskiem jeśli nawet nie w pełni systemowym, to systemoidalnym. Całkowicie została zlekceważona sprawa synonimiczności niektórych terminów. W *Słowniku* znalazło się hasło *Idylla*, dobrze się stało, że ten gatunek uwzględniono. Nie ma jednak pozycji: „Sielanka patrz idylla”. I jedno, i drugie słowo jest całkowicie uprawnionym terminem, synonimiczność tego typu wymaga zaznaczenia.

¹ S. J a w o r s k i: *Słownik szkolny. Terminy literackie*. Wyd. 2. Warszawa 1991; *Podręczny słownik terminów literackich*. Wyd. 2. Kraków 2000.

Osobna dziedzina bałaganu to bibliografia prac na dany temat, dołączana do wszystkich hasel, co jest, oczywiście, decyzją uzasadnioną. Przyznaję, nie zajmowałem się systematyczną analizą tych bibliograficznych wykazów, przeglądałem je na zasadzie próby. Ale i w tej dziedzinie nie mogłem wyzwoić się od zdziwienia, że przy tak wielu artykułach słownikowych uwzględniono pozycje marginesowe, nie wymieniono zaś takich, które mają charakter podstawowy. Dwa przykłady, pierwsze z brzegu. W hasle *Alegoria* zgrupowano sporo prac dość luźno związanych z tą kategorią, pominięto zaś zredagowaną przez Janinę Abramowską antologię *Alegoria*, zawierającą artykuły na ten temat, pierwotnie drukowane w dziale przykładów „Pamiętnika Literackiego”². Inny przypadek: proszę wybaczyć, ale upomnę się o antologię, którą przed laty sporządziłem. Nazywa się ona *Symbol e i symbolika* (1990), liczy sobie prawie 400 stron i zawiera prace tłumaczone z kilku języków. Przypuszczam, że jest jednym z najobszerniejszych zbiorów studiów na ten temat dostępnych w polskiej wersji. Łaska autorów zestawień bibliograficznych na pstrym koniu jeździ.

Skoro mowa o różnych dziwach cechujących tę księgę, to nie można pominąć sprawy ilustracji. To prawda, słowniki, także terminologiczne, należą do tego rodzaju publikacji, które w przeważającej liczbie przypadków obywają się bez obrazków. Jeśli traktuje się je po prostu jako ozdobe, to nie stanowią one kwestii merytorycznej, tu jednak – jak wynika z wprowadzającego tekstu pióra prof. Nawareckiego – autorzy przypisują im większą, w taki czy inny sposób, zasadniczą, rolę. Powstaje problem o charakterze ogólnie metodologicznym: czy istotnie można ilustrować pojęcia i terminy, nie podejmę go wszakże, omówienie tej sprawy zdecydowanie wykraczałoby poza ramy recenzji. Jeśli jednak ilustracje mają być ważnym elementem, trzeba się zastanowić, jaką pełnią rolę wobec tekstów słownych. I tu od razu nasuwa się refleksja, iż dobrano je osobliwie, pytanie: jak? Musiałoby ono zostać bez odpowiedzi ze względu na to, że i tutaj trudno byłoby zrekonstruować jakieś powszechnie obowiązujące zasady. W przypadkach, w których dana kategoria – taka jak alegoria – występuje także w sztukach wizualnych, ilustrację będącą przykładem dobrać łatwo. Skoro już to hasło wspomniałem, zastanawiam się, czy satyryczny rysunek Daumiera, przedstawiający dwu adwokatów, zapewne coś do siebie mówiących, czy wręcz kłócących się, jest przykładem właściwym; w takich sytuacjach nasuwa się pytanie: alegoria tak, ale czego? Niekiedy ilustracja po prostu udosławia to, o czym się pisze. Np. w hasle *Klimaks* pojawiają się rozważania o drabinie, obrazek właśnie ją przedstawia, choć można sparafrazować słynne zdanie sarmackiego encyklopedysty i rzec: drabina jaka jest, każdy widzi. W większości przypadków trudno dociec, dlaczego dany wywód ilustrowany jest w ten czy inny sposób. Nie wiem, z jakich powodów przy hasle *Narrator* (zresztą nader jednostronnym i przez to mylącym) pojawia się portret Joyce’a, choć z równym powodzeniem mógłby go zastąpić portret Homera lub Gombrowicza, Karola Maya lub Katarzyny Grocholi. W wielu przypadkach trudno znaleźć związek między tekstem a ilustracją. Np. hasłu *Oryginalność* towarzyszy reprodukcja socrealistycznego obrazu Wojciecha Fangora przedstawiającego trzy osoby stereotypowo potraktowane: robotnika i jego partnerkę oraz wytwornie ubraną burżujkę w ciemnych okularach i z trzymaną obydwiema rękami elegancką torebką. Nie wiem, czy ta malarska kompozycja z początku lat pięćdziesiątych wieku XX ma demonstrować oryginalność czy brak oryginalności. Dodam na marginesie, że hasło to napisała Joanna Roszak, autorka kilku tekstów pozytywnie wyróżniających się przejrzystością i dyscypliną wywodu. A jak już wiemy, nie są to wartości i cnoty w tym *Słowniku* przestrzegane.

² Żeby było dziwniej, antologia ta opublikowana została nakładem wydawnictwa, które firmuje recenzowany *Słownik*. Jak widać, ze zdumiewającą skromnością nie pamięta się w nim o własnych zasługach i osiągnięciach sprzed kilkunastu lat.

Doszlśmy do następnej sprawy wielkiej wagi: czy obowiązują tutaj jakieś konsekwentnie przestrzegane zasady w konstruowaniu poszczególnych haseł? Owszem, ale nie takie, jakich można byłoby się spodziewać w publikacji, w której tytule pojawia się termin „słownik terminologiczny” (bo to – czy to się komuś podoba czy nie podoba – także termin, lub raczej, by być precyzyjnym, metatermin). Jak się wydaje, jedną z reguł obowiązujących w omawianym dziele jest to – pośrednio wspominałem o tym wcześniej – by hasła charakteryzowały się mniej więcej przybliżonymi rozmiarami. Czym tłumaczyć takie dążenie do zrównania – nie wiem; w większości słowników terminologicznych hasła są pod tym względem konsekwentnie różnicowane, a już sama objętość stanowi ważną wskazówkę dla czytelnika, dotyczącą rangi danego terminu, jest istotnym sygnałem. W pewnych przypadkach ta tendencja ma fatalne konsekwencje, przy czym chodzi o coś więcej niż o ujawniające się z tej okazji dysproporcje. Chodzi o to, że w niektórych sytuacjach owe trzy stronicie to zbyt mało, w innych zaś zbyt dużo. Gdyby uwzględnione zostały takie terminy, jak „epika”, „monolog”, „romantyzm”, „tragedia”, a także inne, należące do podstawowego wysłowienia w nauce o literaturze, spodziewać by się należało haseł najobszerniejszych w obrębie wyznaczonych przez zespół redaktorski rozmiarów i limitów. I odwrotnie: takie np. terminy, jak uwzględnione w spisie i opatrzone komentarzem „nagrobek”, „kryptonim”, „errata”, „villanella”, zasługiwały na omówienia krótkie, zaledwie kilkudzaniowe. Czytając to dzieło miałem w pierwszym przypadku poczucie niedosytu, w drugim – znacznie częściej – zbyt dużego nadmiaru. W tym ostatnim redundancja zyskiwała przewagę nad zwięzłością

Paradoksalnie i w pierwszej, i w drugiej sytuacji w sporej większości haseł ujawniało się to, co określiłbym jako przypadkowość przekazywanych informacji. Wyraża się to we wprowadzaniu wątków, które są zupełnie zbyt duże. I tak dzieje się w niepotrzebnym haśle *Kaprys*, bo taki termin w dyscyplinie naszej nie funkcjonuje, choć sporadycznie słowo może się ewentualnie pojawić. Nawiasem mówiąc, pomieszczone zostały w hasło tym rozważania o kozach, w istocie niczym się nie tłumaczące, no bo przecież nie jest to ani słownik zoologiczny, ani nawet słownik symboliki zwierzęcej występującej w języku, w literaturze, w ikonografii. Takich dodatków rozpychających hasła, by podporządkowały się temu, co uznano za objętościową normę, jest dużo. We wspomnianym już hasle *Klimaks* nie tylko pokazano, jak drabina wygląda, ale zaczęto od takiej informacji: „Klimaks to drabina. Drabina zakłada pojęcia góry i dołu. Góra i dół sugerują hierarchię. Hierarchia wprowadza porządek – porządek jest szczeblem podczas wspinaczki do nieba” (s. 269). Nie chce się takiego słowotoku komentować! W ten sposób snuć można rozważania w nieskończoność, bo drzewo, szafa, wieża itd. również odznaczają się tym, że posiadają górę i dół, jak wszystkie inne przedmioty należące do świata ludzkiego poza tymi, które – niczym kartka papieru – są płaskie. Czasem natrafiamy na niezwykle rewelacje. Profesor Kadłubek w hasle *Paignion* odkrywa taką zaskakującą prawdę: „Dziecko patrzy na świat oczami dziecka i stawia dziecięce pytania, które mogą jednakowoż okazać się głęboko filozoficzne w swej prostocie” (s. 351).

Tego rodzaju odkryć i maksym pojawia się w tej książce sporo. Pokażna część autorów (w tym najbardziej prominentni) gardzi – jak wiemy – definicjami, w ogólności nie lubi tzw. stylu naukowego. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać. Przypominam, że prof. Nawarecki deklaruje w słowie wstępnym, iż teksty zebrane w tej księdze mają bawić czytelnika. Czy takie rewelacje są składnikiem tej zaprojektowanej zabawy? Domyślam się, iż jedną z dyrektyw, przekazanych autorom, było to, że mają się poszczególne pozycje rozpoczynać od zdań efektownych, przyciągających uwagę, często „poetyckich” i metaforycznych. Np. hasło *Aforyzm*, autorstwa prof. Kadłubka, rozpoczyna się tak oto: „Aforyzm jest dowodem na to, że myśl potrafi być złota, lotna, zwinna; że może związać się jak jeź i wlatywać jak ptak. O aforyzmie wolno mówić dyskursem wlatującym, ponieważ w dużym stopniu

ma naturę ptasią. Istnieje wpisana weń tendencja do niezależności, lekkości, do wzbijania się w górę, nieustanna gotowość do skoku [...]” (s. 36). Zdumiewa ta metaforyczna *elephantiasis* w publikacji mającej pełnić funkcję słownika terminologicznego. Z jednej strony, jest to prosta konsekwencja kwestionowania definicji, z drugiej zaś – braku odpowiedzialności za słowo, co wiąże się, jak w cytowanym przypadku, z tandetą stylistyczną; w taki sposób napisać można o każdym terminie wszystko, co się chce, dowolność nie zna granic, niszczy dyscyplinę wysłowienia – i otwiera drogę do belkotu. W rozważaniach o aforyzmie kierunek wywodu określiło przyjęte, ale potoczne wyrażenie „skrzydlate słowa”. W konsekwencji „dyskurs wzlatuje”. Nawiasem mówiąc, radbym wiedzieć, co to wyrażenie ma znaczyć. Im hasło słabsze, tym więcej tandetnych poetyzmów. Pojawiają się one zresztą nie tylko w incipitach, stanowią m.in. „ozdobę” zakończeń. Hasło *Felieton* kończy się takimi oto słowy: jest on „obietnicą nieprzelotnej relacji autora z czytelnikami, na których czeka on zawsze w tym samym miejscu, by w poufalej rozmowie, zamiast mdłej buły codzienności, uraczyć ich lekkim, cieszącym zmysły, deserem ze współczesności” (s. 181).

W wielu przypadkach hasła są tak pomyślane, jakby wzorcem gatunkowym był dla ich autorów właśnie felieton. Ma być efektownie, przyjemnie, lekkostrawnie. Muszę wyznać, że jest to jedyny znany mi słownik terminologiczny, w którym obowiązuje tak formowany wzorec gatunkowy. Niestety, przyjęcie tego rodzaju ideału hasła nie sprzyja dyscyplinie, a czasem wręcz ją uniemożliwia. Toteż natrafiamy na różne dziwne rozwiązania. Niekiedy dwa wyrażnie różniące się znaczenia traktuje się tak, jakby chodziło o jedno. Z czymś takim spotykamy się np. w hasle *Katachreza*. Jest to pokaz bałaganu myślowego i właśnie terminologicznego, jaki w omawianej książce panuje. Nie można bowiem sprowadzać do jednego i tego samego znaczenia katachrezy jako uzupełniania wyrażeń, których brak w systemie językowym (typu „noga krzesła”), i jako niespójności semantyczno-stylistycznej (w rodzaju klasycznego przykładu przytaczanego przez Witolda Doroszewskiego, zaczerpniętego z reportażu z wyścigów: „wszystko jest w rękach konia” (s. 265)). Autor zresztą posługuje się w swych wywodach katachrezami w sensie drugim, o czym świadczy taki przykład: „sformułowanie [...] najbardziej sugestywnie brzmiałoby zapewne w wymownych oczach poety [...]” (s. 266). Tego rodzaju stylistyka – a jej przykłady można mnożyć, czerpiąc je nie tylko z rozważań o katachrezie – pojawia się w *Słowniku* nieustannie. Nie sprzyja ona precyzji i jasności wywodu, niekiedy zaś prowadzi do efektów niezamierzenie groteskowych. Jest także przejawem wątpliwych umiejętności pisarskich i po prostu marnego stylu. Hasło *Patos* rozpoczyna się od takich oto wzniosłości: „Etymologiczne źródła pojęcia patosu wypływają z mrocznego masywu zbiorowej niepamięci, a gdy się już z niej wyłonią, płyną w stronę oceanu mądrości meandrami świata bólu, doświadczenia, poznania i pasji” (s. 368). I tego typu rozważania płyną, płyną, płyną... – nierzadko przypominając rubrykę z tygodnika „Przekrój”, która nazywała się *Humor zeszytów szkolnych*. Niestety, zwłaszcza w książce, której wydawcy powinni dbać o przestrzeganie standardów stylistycznych, jest to humor czarny.

Dalsza sprawa: w jaki sposób i w jakim zakresie są przywoływane konkretne materiały literackie? Pod tym względem hasła są wysoce zróżnicowane. O niektórych, niestety niezbyt licznych, powiedziałbym, że są wzorowe, dużo z nich można się dowiedzieć. Wymienię dwa: *Kotysanka* Beaty Stefaniak-Maślanki i *Koncept* Agnieszki Skolasińskiej. Są to teksty rzeczowe, przejrzyste, z tezami dobrze uzasadnionymi. W wielu hasłach rozgadanie zdecydowanie przewyższa konkret. Niekiedy brak podstawowej egzemplifikacji. Np. z hasła *Ballada* czytelnik nie dowie się, że najwybitniejszym poetą polskim piszącym w XX wieku ballady jest Leśmian. Z hasła *Hagiografia* nie zdobędzie informacji o tym, że podstawowym gatunkiem w jej obrębie są żywoty świętych. I znowu także w tej dziedzinie nie ma zasad, które by obowiązywały. Wszystko dzieje się po uważaniu, wielokrotnie głównym czynnikiem regulującym jest po prostu przypadek. Niedopuszczalny zwłaszcza w publikacji o charakterze słownikowym bałagan daje o sobie znać nieustannie.

Na tę książkę chciałbym spojrzeć z jeszcze jednego punktu widzenia, nasuwa się bowiem pytanie: jak to się stało, że pozycja tak bałaganiarska, nieprzemyślana, daleka od profesjonalności, w istocie nie zredagowana, tandetna i manieryczna stylistycznie, mogła się w ogóle ukazać w tej postaci? W książce ujawniono skład zespołu, nazywającego się Radą Naukową. Tworzyło ją pięcioro uczonych, mieszkających w kraju lub za granicą. Czy żaden z nich nie żywił wątpliwości? Czy żadnego z nich nie zastanowiło, że słownik ten to pokaz dumnego z siebie dyletantyzmu, w istocie stanowiący antysłownik jako realizacja nader osobliwego zamierzenia. Nie znam na te pytania odpowiedzi, ale nie mogę ich nie zadać. Chciałbym również zapytać, jak to się stało, że taka pozycja precyzyjna się przez trudne do przebrnięcia grantowe sito. O jednym piśmie ze sporą przykrością, o tym mianowicie, że książka ukazała się w poważnym wydawnictwie „słowo/obraz terytoria”, mającym duże zasługi w publikowaniu cennych pozycji z zakresu humanistyki, tak oryginalnych, jak tłumaczonych. Czytając ją, miałem wrażenie, że tekstów składających się na tę publikację nie tknęła ręka reprezentujących wydawnictwo redaktorów, bo inaczej trudno byłoby wytłumaczyć pojawianie się fatalnych poetyzmów, a także różnego rodzaju pretensjonalności i rażących kiksów stylistycznych.

I jeszcze jedno: *Ilustrowany słownik terminów literackich* został pomyślany jako niekiedy pośrednia, a niekiedy niemal bezpośrednia polemika ze strukturalizmem. Jest to zjawisko zrozumiałe i poniekąd naturalne, że pracownicy naukowci młodszego pokolenia określają się w sposób krytyczny wobec swych najbliższych w sensie chronologicznym poprzedników. Widzimy tu typ zachowań nierzadki tak w różnych dziedzinach sztuki, jak w naukach humanistycznych, niejednokrotnie stanowi to czynnik rozwoju i ma swoje uzasadnienie w przekonaniu, które zresztą nie zawsze się sprawdza, a mianowicie w wierze, że „my to zrobimy lepiej”. To, co nazwałbym polemiką pokoleniową, rozumiem i w wielu przypadkach cenię. Trudno mi jednak pojąć, że tego rodzaju generacyjną reakcją na strukturalizm są teoria i metodologia, które można określić za pomocą neologizmu „bałaganizm”.

Abstract

MICHAŁ GŁOWIŃSKI Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences,
Warsaw

A DICTIONARY HODGE-POGDGE

The subject of this negative review is *Ilustrowany słownik terminów literackich* (*An Illustrated Dictionary of Literary Terms*) published in 2018. In the reviewer's eyes it serves as an example of ineptness and incompetence expressed both in the choice of entries (the key of which is unknown), and in chaos and in general disrespect to the rules of terminological dictionaries preparation. Supposedly, without any harm to scientific values, the dictionary in question is designed to entertain the readers and reveal the expression of editors' and authors' fondness, e.g. love of etymology, being more important than the term's meaning, is declared.